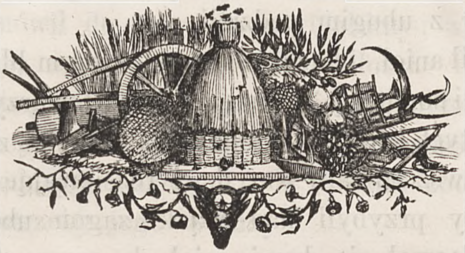
Tom VI. **Nr. 10.**

1. Kwietnia. **1862.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tajemnicze kwiaty.

Dwóch aniołów z przyjściem wiosny zstąpiło na ziemię, aby się ucieszyć skrzętnością i pracowitością ludzi. Zatrzymawszy się przed łanem jakiegoś bogacza, który całą równinę pokrywał, patrzali na chwiejące się pozłociste kłosy, mające wkrótce wydać plon bogaty.

Obok łanu bogacza był wązki zagon, uprawiany potem i ręką jakiegoś ubogiego rolnika. Rzadkie i chude powschodziły tam kłosy, nieobiecujące wielkiego plonu; gdyż biedny rolnik niemając czem sprawić ani zasiać, zdał wszystko na opatrzność bożą.

Aniołowie spojrzeli po sobie i jeden ozwał się:

— Powiedz czemby można człowieka poruszyć, aby uboższemu od siebie sąsiadowi udzielił coś z darów bożych, które nań obficie spłynęły?

— Podsunę mu dwa godła, dwa kwiaty zasieję w zbożu, których piękność i kształt uroczy tajemniczym i znaczącym głosem przemówią do niego. Jeden będzie niebieski jak błękit niebios, dla tego, aby oczy swoje tam zwracał, zkąd płynie

wszelkie błogosławieństwo i pożytek: drugi będzie świecił jak płomień miłości, z pośród złocistych kłosów, przypominając człowiekowi, że ofiara Bogu najmilsza jest ta, kiedy kto zbytek swych bogactw z ubogim podzieli.

Tak mówił anioł, i kazał rosnąć błękitnym bławatkom i czerwonemu makowi pomiędzy złocistemi kłosy; towarzysz jego radował się pięknością tych kwiatów, i oba wziąwszy się za ręce, przebiegali wzdłuż i wszerz łany wszędzie, rozsiewając mak i bławatki

Lecz kiedy przybyli nad wązki zagon ubogiego rolnika, w te słowa odezwał się drugi anioł do swego towarzysza:

—Obdarzyłeś bogacza miłym podarkiem, teraz na mnie kolej, abym ubogiemu pamiątkę zostawił.—I nachylił się ku ziemi, i zasadził drobny kwiateczek, który wyglądał jak oczko proszącego o litość. Kwiatek ten nazywał się niezapominką: przeznaczeniem jego było przemawiać za ubogimi do serc bogaczy.

Z zadumieniem patrzał pierwszy anioł na malutki kwiatek, w końcu westchnął i rzekł:

— Oby tylko syn szczęścia, przechodząc koło ubożuchnego zagonu, mógł cichą prośbę zrozumieć, usłyszyć jęk niedostatku. Dla tego, bracie mój — tu oko jego zabłysło nieograniczoną miłością — dodajmy do tych kwiatków jeszcze inny, któryby bogaczowi przypomniał, że przed Bogiem niema różnicy, i że Bóg chce braterstwa między swemi dziećmi. — I to rzekłszy, uszczknął z swego wieńca gałązkę, złączył ją z gałązką drugiego anioła, i zasadził w ziemi kwiatek dwoistej barwy, zwany powszechnie bratki. W mgnieniu oka kwiatek się rozkrzewił, tak po łanach bogacza, jak na zagonie ubogiego.

Owóż kiedy ubogi rolnik przyszedł oglądać owoc rąk swoich, jakże mu się wszystko miłem wydało, jaka słodka nadzieja wstąpiła w jego serce! Złożył ręce i wznosząc je do nieba, zawołał:

— Chwała ci Panie! dziękujemy ci za to, co nam dajesz; jeżeli zbiór nie wystarczy na chleb dla mojej żony i dziatek, wzbudzisz litość w sercach bogaczy i podzielą się z nami jak z braćmi.

Kiedy zaś nadszedł czas żniw, a bogacze oglądali obfity plon, jeden z nich zawołał, wskazując na tajemnicze kwiaty:

— Zkąd się to niepotrzebne zielsko wzięło? — I zaraz kazał wyrwać i spalić.

Drugi zaś bogacz słysząc to, zadumał się głęboko, i zrozumiał, co mówił do niego kwiat błękitny; a gdy czerwony postrzegł, stanęła mu na myśli ofiara miłości. Poczem poszedł ku zagonowi ubogiego i tam ujrzał niezapominkę i bratki: ten widok wytłumaczył mu tajemną wolę opatrzności; jakoż zaraz udał się do biednego sąsiada, i tyle mu dał zboża, że przechodziło prawie potrzeby jego rodziny.

(*Cz. P*)

Utrapienie.

Lecą z ciepłych wód żórawie całe rozśpiewane,
Płyną moje latka młode jak fale wiślane;
W krzyku waszym pełno szczęścia srebrne wy żórawie,
A mnie łza się u rzęs wiesza jak rosa po trawie.
Hej, uciszcie wasze krzyki,
Moje wesełyki!
Dam wam słomy, mchu leśnego,
Dam wam sianka zielonego,
Dam wam puchu łabędziego
Do gniazdeczek, na posłanie,
A wy mi też dajcie za nie
Jaki krzyk na zaklinanie
Serca stęsknionego!...

— Ej, nie będę myśleć o tem
Jeszcze do niedzieli;
Jędyk myślał — i cóż potem?
Głowę mu ucięli!

Gdzieżeście wy moje latka, lateńka dziecięce,
Kiedy mię to małą brała mateczka na ręce?
Takam sobie wtedy była wesoła i pusta,
Że tańczyły kwiatki ze mną, wiatr całował w usta...
A dziś, a dziś miły Boże,
Śmiać się nie pomoże!
Jużem rosła, jak kłos żyta,
Każdy mi coś w oczach czyta,

I serczysko o coś pyta —
A kukułka, ta znachora,
Jak mi jęła kukać wczora,
To kukała do wieczora
W dębince ukryta.

— Ej, nie będę myśleć o tem
Jeszcze do niedzieli;
Jędyk myślał — i cóż potem?
Głowę mu ucięli.

Dwie jaskółki gniazdko sobie ulepiły w sionce,
Deszcz im glinę przygotował, wysuszyło słońce;
A co śpiewek, co zalotów! miło im być musi
Tak we dwójkę — niebo, wiosna i kącik milusi!
Tyle biedy na mą głowę,
Na maleńką głowę!
Z żalu zbladłam już jak chusta,
Kwiatki nudne, ja nie pusta,
Wiatr całować nie chce w usta...
Smutno, nudno i nieznośnie,
A tu na złość wszystko rośnie,
Wszystko garnie się ku wiośnie
Co ma inne gusta!

— Ej, nie będę myśleć o tem
Jeszcze do niedzieli;
Jędyk myślał — i cóż potem?
Głowę mu ucięli!

Halka z Podgórza.

Chrzestna matka.

W przysiołku Kalinicy żył sobie gospodarz trzeźwy, pracowity, pobożny: jednem słowem, dobre chłopisko, że, jak to mówią, można go było i na ranę przyłożyć a nicby nie bolało. Miał on pracy dosyć i mógłby kilkoro ludzi wyżywić, okryć i pomieścić przy sobie; ale otóż brakowało mu właśnie tylko to do szczęścia, że mu Pan Jezus nie dał ani syna, ani córeczki. W całej chałupie było ich dwoje tylko: on na imię Maciej, i żona na imię Maryna; było tam i dwoje sług, ale cóż, sługa to nie dziecko

gazdy. Więc gospodyni Maryna jak była dobrą żoną i pracowitą gospodynią, tak też była i miłosierną dla ubogich: na około proszono ją na każde prawie weśele to za starościnę, to za swaszkę, a dobra Maciejowa nie odmówiła nikomu; a gdzie była na weselu, to tam zawsze było pięknie, bez pijatyki, bitki i obrazy boskiej. Ależ i chrzciny w Kalinicy nie obeszły się bez niej. Miała ona sznurek w skrzynce, a na tym sznurku było już jakie ze czterdzieści guzów, a gdy ją kto pytał:

— Na co wy to Maciejowa trzymacie ten sznurek?

To ona mu odpowiadała:

— Czy ty nie wiesz o tem, że ja sobie znaczę, ile to ja dziatek trzymała już do chrztu świętego? Ile guzów na tym sznurku, tyle dzieci przeszło przez moje ręce; a jeźli mi które zabrał Pan Jezus, to widzisz, zaraz należący doń guzek czernię węglem, i już od chwili śmierci wymieniam jego duszyczkę w każdym paciorku, i daję za nią jałmużnę.

I umiała Maciejowa na pamięć wszystkie imiona dzieci, a gładko, bez omyłki i zająknienia się. A były tam niektóre guzki malowane na sznurku, i gdy ją kto spytał o to, to ona rzecze z radością:

— Widzisz, moje dziecko, to znaczy, że te dzieci są szczęśliwe, albo się już pożeniły, albo poszły za mąż, i nie potrzebują już mej pomocy. I za nich ja się modlę.

Ale trzy ostatnie guzy na sznurku były razem związane i naznaczone, a gdy ją pytano, coby to miało znaczyć, ona z płaczem gadała:

— To są troje dziatek naszego bliskiego sąsiada Szymona Wilka, z których ja dwoje do chrztu świętego trzymała. Oj, sąsiad to sąsiad, pożal się Boże, że to katolik! W domu jego ani składu ani ładu, żona jego biedna i chorowita baba, a on sam kawałek zbijacza i pijaka, a dzieci jego to tak, jakby nie miały ojca, to sieroty biedne, bo cóż im po takim ojcu?

I zaprawdę, bez żadnej obmowy mówiła Maciejowa, bo ten Wilk nie był dobrym gazdą, nie był dobrym ojcem, nie był dobrym człowiekiem: gdyż kto o swoje nie stoi, kto gruntu i roboty nie pilnuje, to już wielki ladaco! A kto i dziatki swoje za nic nie trzyma i o wychowek ich nie dba, to gorszy od psa,

bo każdy piesek wykarmi i wygrzeje swoje psięta, a dopiero jak podrosną i umią sobie jeść wynaleźć, odchodzi je i pozostawia opiece bożej i ludzkiej.

Poczciwa Maciejowa, jako chrzestna matka, płakała za temi sierotami jakby za swemi rodnemi dziećmi, a ile razy one przyszły do niej, to nalała gotowanej strawy, albo mleka na miskę, postawiła na stół, podała łyżki do ręki i kazała się temu sieroctwu pożywić. Potem wzięła letniej wody z garnka, obmyła te dzieci brudne, poczesała im główki, i poszła do komory, otworzyła skrzynkę, a wyjęła przerobione koszulki i oblekła w nie swoje chrzestniaki sierotki. A gdy te dzieci wyglądały ładnie, to ona brała ich rączki i głaskając po głowach, mówiła:

— O biedne wy biedne, moje sierotki! Ojciec pijak, matka wasza chora leży, a wy bez ogarnienia! — I tak płacząc nad temi dziećmi, ocierała sobie zapaską łzy i cieszyła ich:

— Nie zginiecie wy, dopóki się tylko moje ręce ruszają, dopóki was moje oczy widzą, dopóki wasz płacz moje uszy słyszą, dopóki mnie wam udziela życia Pan Jezus!

A gdy to mówiła, dzieci objęły ją rączkami to za ręce, to za szyję, i całując ją gadały zapłakane:

— O nie opuszczajcie nas też, chrzestna matko, bobyśmy nie jadły i pomarły z głodu, bobyśmy chodziły odarte, bobyśmy i paciorka nie umiały, bobyśmy nie znały, gdzie Pan Jezus i Panna najświętsza, bobyśmy nawet do kościoła nie trafiły.

Więc dobra Maciejowa rzecze im na to:

— Przychodźcie tu do mnie każde rano, w południe i wieczór, a ja wam podam co do zjedzenia, a potem zaniesiecie też co i matce chorej; zmówię z wami paciorek, abyście go nie zapomniały, a co sobota ogarnę was z brudu, aby się was jakie robactwo nie czepiło, a pamiętajcie też pilnować chorej matki, podać jej wody, nakryć ją, oganiać z niej gałązką muchy i posłużyć jak zawoła.

I chodziły codzień sieroty do chrzestnej matki, a ona nie dosyć, że nakarmiła strawą, ale zawsze wtrąciła za pazuchę to odrobinę sera, to kawałeczek chleba, to suszkę z jabłek, to rzepę lub marchew, a jak sieroty wyszły z jej chałupy i prze-

łaziły przez płot, to ona sama przesadziła każde swoją ręką, jeszcze pogłaskała, a wracając do sieni, patrzyła zpoza drzwi za niemi i mówiła:

— Toć ja biedna, nie mam swego dziecka, ale miałoby moje dziecko mieć takiego ojca jak te sierotki, to lepiej że mi Pan Jezus nie dał dzieci!

I sprzątała sobie Maciejowa po chałupie, a potem sama pobiegła zaglądnąć do chorej Szymkowej, która leżała wyschła i żółta, jako liść w zimie, a leżała na ziemi, pod nią trochę barłogu, na niej czarna podarta koszula, przykryta starym kożuchem, włosy zmierzwione i na pół w kołtun zwinięte, a twarz ciemna, jakby ją kto węglami popruszył. Maciejowa się pyta:

— A gdzież Szymek, wasz chłop?

Na to Szymkowa stłumionym głosem:

— Albo ja go widziała! Ja go od tygodnia nie widziała. Wszak wy wiecie, że grunt już zastawiony, a krowiny sprzedane. Ani łyżki mleka własnego już od roku nie widziałam, tylko wodą żyję i tem, co mi ludzie podadzą. Niech wam moja Maciejowa Pan Jezus zapłaci za to, że wy pamiętacie o mnie, ale najwięcej za to, że pamiętacie o moich sierotach. Ja czuję to, że nie długo umrę, więc bądźcie wy też łaskawi pochować mię w jakiej takiej trumnie i koszuli, aby mię Szymek nie pochował tak, jak mię widzicie.

Odtąd Maciejowa więcej jak zwykle pamiętała o chorej kumeczce, a gdy ta umarła, Maciejowa kazała zdjąć tarcice, co wisiały pod dachem, i zrobić trumnę, dobyła cieńką koszulę swoją, którą miała od ślubu jeszcze i oblekła w nią swoją nieszczęśliwą kumeczkę i pochowała ją, jak to chrześcijanie się chowają, nie z paradą, ale zawsze uczciwie.

A gdy wracała z smętarza, prowadziła za ręce dwoje sierót zapłakanych, które przyszły przed swoją chałupę i tak gadały:

— Po cóż my tu idziemy! Tu mamy pościel po matce, tu jej łzy po ziemi rozrzucone, tu ona trzy lat przestękała i przepłakała, a my z nią płakały. Cóż my tu biedne mamy robić?

A Maciejowa mówi:

— Ja was wszystkie wezmę do siebie, bo ja wasza druga matka po chrzcie świętym, bo tak każe robić pan Jezus; jak rodzice nie dbają o dzieci, to powinni chrzestni ojcowie o nich dbać jakby o swoje. Ale ja pierwej o tem pogadam z moim chłopem.

Więc wieczorem gdy Maciejowa siedziała na progu w sieni, a obok niej stary Maciej, tak się do niego odezwie ona litościwa kobieta:

— Wiecie co, stary ojciec, weźmy te dzieci po Szymkowej do siebie; tażto wyście trzymali jedno, a ja dwoje do chrztu, ot niech się chowają przy nas, a my tam na tem nie stracimy wiele!

A Maciej kiwa głową i mówi:

— Toćby wypadało nie inaczej zrobić, bo my tym dzieciom teraz najbliżsi, bo my im po Panu Jezusie i po chrzcie świętym tak jak ojcowie. Ale kiedy to nie zawsze tacy odpłacają ci dobrem za dobre.

— Co tam gadacie — rzecze Maciejowa — ale Pan Jezus płaci, a co u niego zapisane, to już nie zmazane! U niego płaca nie przepada.

Więc Maciej rzeknie:

— No, to sieroty weźmiemy, ale trzebaby im uratować i grunt i chałupinę, by tego Szymek do reszty nie przepił.

I zrobili uczciwi Maciejowie wszystko dobrze. Sieroty przyszły do ich chałupy nie na służbę ani na poniewierkę, ale aby nie zmarnowały się ich dusze i ich ojcowizna. Jak na to, zapił się też był podonczas Szymon okropnie, i pewnego ranka znaleziono go przy drodze bez ducha; więc Maciej poszedł do sądu, wziął sierot ojcowiznę w opiekę i rok rocznie obsiewał ich grunt i poszywał chałupinę sierocą, i poprawiał płoty i zbierał i składał do kupy, a sieroty rosły i wyrosły na duże dziewczęta.

— I gdzież one teraz? — zapytacie.

— Oto stary Maciej wydał wszystkie trzy sieroty za mąż, a Maciejowa dała wiano. A zkąd to wiano? Oto trzynaście lat opiekowali się temi sierotami dobrzy chrzestni ojcowie, i złożyli z gruntu sierocego trzysta reńskich jak do krajcara su-

miennie i uczciwie, i dotrzymali na nich grunt i chałupinę, i nastąpił podział taki: najstarsza wydana Kasia wzięła grunt z chałupą, a dwie młodsze Zosia i Marysia dostały po 150 reńskich na rękę, a Maciejowa dała po krowie jednej. I są te sieroty dziś szczęśliwe i nie biedują.

A stara Maciejowa cieszyła się tem, jakby szczęściem własnych dzieci! A gdy Maciejowie pomarli, to sieroty pochowały ich poczciwe kości z płaczem, wystawiły na ich grobie kapliczkę z frasobliwym Panem Jezusem, a teraz co miesiąc odprawia się nabożeństwo za Maciejów dusze, a co niedziela zobaczyć możecie na ich grobie drobne dzieci i kobiety. I któż to taki? Ota Kasia, Zosia i Marysia idą tam z swemi dziatkami i razem klękają na grobach Maciejów, i gadają dzieciom:

— Tu leżą wasi dziadkowie, od nich macie życie i przyodziewek, to są ci, za których się w domu rano i wieczór modlicie.

A dziatki się pytają:

— A czy dziadzio i babcia w niebie?

A matki odpowiadają:

— A gdzieżby indziej mogli być tacy, jak byli wasi dziadkowie? Wszak takim dobrym obiecane niebo!

Niech im tam da niebo Pan Jezus miłosierny, a wy moi ludzie róbcie tak, jak robili ci Maciejowie, bo trzeba wam wiedzieć, że na tym sznurku było dziesięć guzków czarnych a reszta czystych, to jest dziesięcioro dzieci umarło z tych, które Maciejowie do chrztu trzymali, a reszta żyły wszystkie i nie było tam ani jednego, coby nie miało pomocy jakiej od chrzestnych ojców, a osobliwie od swej chrzestnej matki.

Ks. Wojciech z Medyki.

Ciekawy Wojtuś.

Kawa.

Całą zimę słabował pan rymarz Walenty: to się podnosił na chwilę, to się znowu kładł, i aż dopiero pod wiosnę, kiedy wietrzyk ciepły zaczął budzić wszystko ze snu zimowego, obudziło się i zdrowie w piersiach pana rymarza, ściągnął się już

zupełnie z łóżka, i powoli wychodził przed dom na ławkę, krzepiąc się świeżem powietrzem. Z wielką troskliwością chodziła pani Walentowa koło męża w czasie jego choroby, a Wojtuś, bywało, siadał nieraz przy ojcowskiem łóżku i płakał sobie rzewnie, bo nie miał go kto pouczyć w tem i owem, nie miał mu kto pożyteczną gawędką rozpędzić długich zimowych wieczorów.

Radość też była wielka, gdy pan Walenty jął już wychodzić przed dom na ławkę, z dnia na dzień widocznie krzepiąc się na siłach. Drzewa pękały i zielono robiło się po świecie. więc nieraz, bywało, wyniesie pani Walentowa i mały stolik przed ławkę, a na nim postawi szklaneczkę kawy mężowi na śniadanie, bo on, niebożątko, nie mógł jeszcze wiele jadać, i tyle, co szklanką kawy a odrobiną mięsa na dzień się pożywił.

Nadeszła niedziela. Pan Walenty usiadł rano jak zwykle na swej ławce, a Wojtuś, że to w święto szkoły nie bywało, przysiadł się do ojca, i tak obadwaj cieszyli się bożą pogodą, gdy oto pani Walentowa wyniosła szklankę kawy z bułką na talerzyku, i postawiła ją na stole przed mężem.

— Bardzo mię krzepi ta kawa — rzeknie pan rymarz do żony — ale cóż, nie będzie ją można tak pić bez ustanku, bo dużo kosztuje.

— Ej, nie turbuj się, nie turbuj! Wystarczy jeszcze na dość długo, a byle tylko na zdrowie ci wyszło — odpowie Walentowa.

A pan Walenty na to:

— Bo to tak się zdaje, odrobina kawy! Ale to i cukru zaraz do tego, i śmietanki, a wszystko kosztuje...

— Nie gderaj stary, nie gderaj! Kosztowniejsze zdrowie jak kawa i cukier. A gdyby nie twoje rzemiosło i nie twoja praca, to z czegóżbyśmy żyli? A gdyby nie grosz z twojej pracy oszczędzony? To za to sobie jeszcze żałujesz?

Więc pan rymarz ucichł i zabrał się do kawy, a żona terkocząc to niby swoim zwyczajem, wróciła do izby krzątać się wedle obiadu, bo niezadługo zadzwonią na sumę, i trzeba pójść złożyć gorące dzięki Panu Bogu za tydzień szczęśliwie przeżyty.

Ciekawy Wojtuś siedział w milczeniu, i przypatrywał się

ojcu pijącemu kawę, a myślał sobie przytem, zkąd też ta kawa, i co tam w niej dobrego, że ją tak ludzie wszędzie piją? A że to u Wojtusia wszystko co w myśli to i na języku, więc dalejże się wypytywać ojca o kawie, a pan Walenty miarkując, że to jeszcze z godzina wolnego czasu przed nabożeństwem, tak jął synowi opowiadać:

— Kawa, jak my ją tu dostajemy, jestto nasienie z drzewa, którego najwięcej rośnie w *Indjach* i *Arabji*, w krajach ciepłych daleko od nas na wschód położonych, a nawet zgoła w innej już części świata, co się *Azją* zowie. Drzewo kawowe bywa od dziesięciu do piętnastu łokci wysokie, a tylko wtedy mniejsze, gdy go obetną od wierzchu dla urodzajności. Pień jego jest szarej barwy jak u naszej grabiny, a gałęzie smukłe wyrastają parami od wierzchołka aż do spodu, i tak są na dół opuszczone jak naprzykład u naszego świerka, tylko że niema na niem jak na świerku igieł, ale są listki podłużne, połyskujące, które tak samo jak i gałązki parami naprzeciw siebie wyrastają. Drzewo kawowe kwitnie, jak wszystko w onych krajach, dwa razy do roku, a kwiat jest biały pachnący i tyle go zawsze na drzewie, że niby śniegiem opruszone stoi, podobne w tem do naszej jabłoni, gdy bujno zakwitnie. Atoli nie długo tej pociechy; po dwóch dobach kwitnięcia opada każdy kwiateczek, a powstaje z niego owoc, w kształcie jagody czerwonej, w której dwa na pół płaskie ziarnka się znajduje. W *Indjach* sadzą bardzo wiele kawy, a uprawa jej nie jest zbyt uciążliwa: drzewka w trzecim roku zaczynają już rodzić, i odtąd przez sześć lat bujny wydają owoc, aż dopiero w dwudziestym roku zupełnie rodzić przestają. Do bujnego wzrostu potrzebny im cień; czynią więc mieszkańce owych krain tak, iż sadzą kawę między innemi, wyższemi drzewami, a te ją chronią od zbytniego słońca.

Już w grudniu i styczniu zaczynają otrząsać źrały owoc na podłożone płachty; ale najobfitszy zbiór jest dopiero w maju. Otrząsłszy one czerwone jagódki, suszą je potem robotnicy przez kilka tygodni, liśćmi pod noc nakrywając, a potem na osobnych do tego młynach wyłuskują ziarnka ze środka, i tak przebrawszy co brzydsze a co piękniejsze, pakują do ogromnych worów.

Piękna i dobra kawa jest zwykle w małych, twardych, zielonawych a pachnących ziarnkach. Widzisz, mój Wojtusiu, anibyś sobie nie był pomyślał, jaką to długą drogę ta kawa przechodzi, zaczem tu do nas się dostanie!

— A proszę taty — odezwie się Wojtuś — a jakże się tu nasi ludzie dowiedzieli, że tam kawa rośnie, tam gdzieś aż w onych ciepłych krajach?

Pan Walenty podumał trochę, a wreszcie rzecze:

— Długa to historja, mój synu; no, ale ci ją tu choć po krótkości opowiem. — Na jednej pustyni w Arabji stał klasztor muzułmański, a w nim tamtejsi xięża, co ich *derwiszami* zowią, zwykli się byli modlić przez całą noc w świątyni. Ha, ludzie nie święci, często się też zdarzało, że nie jeden z owych derwiszów przy modlitwie zasnął. A gdy się to raz i drugi powtórzyło, tak jął przełożony owego klasztoru przemyśliwać, jakby tu temu zaradzić? I tak myślący o tem wyszedł sobie na pole, gdzie rosły drzewa kawowe, i uważał, że kozy najadłszy się liści z kawy, dziwnie były wesołe i figlarne. Przyglądał się temu przez kilka dni przełożony klasztoru, i wnet się przekonał, iż to nic innego, tylko liść z kawy kozy tak żywemi i trzeźwemi czyni. Postanowił więc spróbować kawy do picia, a widząc że otrzeźwia, trzeźwił nią potem siebie i swoich derwiszów.

Trudno wiedzieć, kiedy się to stało, to jednak pewna, iż jest już lat blisko czterysta, jak w onych ciepłych krajach kawę powszechniej pić zaczęto, a najwięcej używali jej derwisze, modły w nocy odprawiający, bo ich to bardzo krzepiło. Owóż pewien rządzca Egiptu, widząc, że kawa między ludźmi bardzo się rozpowszechnia, zwołał mądrych mężów na radę, i pytał ich, czy kawa szkodliwą jest zdrowiu, czy nie? Długo ci się namyślali i radzili, aż nareszcie powiedzieli iż jest szkodliwą zdrowiu. Więc ów rządzca zakazał surowo pić i sprzedawać kawę, wszystkie zapasy tego ziarna, jakie tylko były, spalono, a każdego, komu dowiedzionem zostało, iż używał kawy, sadzano na osła twarzą do ogona, i tak go oprowadzano po mieście.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Wojtuś — to pięknie musiało wyglądać.

— A i tak nic nie pomogło — ciągnął dalej pan rymarz — bo ludzie zasmakowawszy już w kawie, porzucać jej nie chcieli, a więc i wszystkie one zakazy, jako daremne, wnet odwołano. Jakoż rozpowszechniała się bardzo kawa u Arabów, u Turków i w innych wschodnich krajach, a choć jeszcze nieraz przeciwko niej występywano, i tu i owdzie zakazywano: przecież w końcu przyszło do takiego rozpowszechnienia owego napoju, iż powiedziano w prawie, że jeżli mąż żonie będzie wzbraniał pić kawę, to jej wolno natychmiast żądać rozwodu. Dopiero we dwieście lat pożniej przywieziono kawę do francuzkiego kraju i z tamtąd się powoli po wszystkich zachodnich ziemiach rozchodziła. Kłócili się i tu nieraz o to, czy kawa szkodzi czy nie szkodzi, ale coraz większe jej rozpowszechnianie uciszyło wreszcie wszystkie kłótnie. Niemcy poznali się z kawą przez pewnego Polaka, imieniem Kulczyckiego, a było to przy tej sposobności, jak król Sobieski Turków u Wiednia pogromił. Wtedy to znaleziono w obozie tureckim oprócz wielkiej ilości cukru, oliwy i miodu także i kawy nie mało, a ów Kulczycki, co w tureckich krajach bywał i kawę tam nieraz pijał, jął teraz Niemcom przyrządzać ów rzeźwiący napój, co im się tak spodobało, że niezadługo musiał całą kawiarnię założyć. Było to pod one czasy bardzo drogie picie; ale skoro zaczęli coraz więcej kawy w ciepłych krajach uprawiać, tak też przy coraz większem zniżaniu się cen coraz bardziej się rozpowszechniła.

Przestał mówić pan rymarz, ale Wojtuś ciekawy nie miał jeszcze dosyć, więc pyta:

— Proszę taty, a jakże się to skończyło: czy kawa szkodzi czy nie szkodzi zdrowiu?

— No, że nie szkodzi — przerwie pan majster — to najlepszy dowód w tem, że jej tyle ludzi używa, a nikt jeszcze z kawy nie umarł. Pić kawy bardzo wiele jest nie dobrze, bo to krew poburza, ale szklanka kawy dobrze przyrządzonej orzeźwia i wzmacnia siły, czyni umysł ludzki swobodnym i wesołym, a nie zabija tak jak ona wódka, co ją ludzie często naczczo piją i potem tylko zamiast krzepnąc leniwieją do pracy.

Tym co więcej wódki pijają toby i kawa drożej nie wypadła, a o ile by ich pokrzepiła do roboty zachęcając, o tyle

więcej zysku mieliby z pracy rąk własnych. Ot, naprzykład w innych krajach ludzie po wsiach wszędzie kawę piją, a za to mają się dobrze, i rzadziej tam trafić na pijaka, co się od świtu do mroku po różnych kątach wala z zamroczoną pałką. Zresztą dla taniości sprzedają po sklepach *cykorję* w paczkach, której można przydawać do kawy, żeby była czarną i miała swoją goryczkę. Nie posiada cykorja tej mocy jaką ma kawa, dlatego sama cykorja na nic nie przydatna: ale kto chce mieć kawę tańszą, to może cykorji do niej przymięszać. Zawsze ja mówię, lepiej by to było niż owe inne trunki, co tylko głowę darmo zamącają; więcej by było rozumu i pracowitości między ludźmi a mniej obrazy boskiej...

Właśnie w tej chwili zaczęli dzwonić na sumę.

— Ot na chwałę Bożą dzwon woła! — rzekł pan Walenty i powstał z ławy, a Wojtuś za nim, i tak weszli do domu. Za małą chwilę wychodzili już wszystko troje. Pan rymarz w niebieskiej kapocie, na głowie czarna rogata czapka, a w ręku trzcina z jedwabnemi kutasami; pani Walentowa w złocistym kornecie na głowie i w jedwabnej przyjaciółce, futerkiem obłożonej; a Wojtuś nie wytwornie ubrany, owszem skromnie lecz zato chędogo. I tak szli wszystko troje z pobożnością na twarzach, i weszli do kościoła, i tam składali panu Bogu dzięki za przywiedzenie do zdrowia starego Walentego.

Grześ z Mogiły.

Ludzie postępowi i ludzie wsteczni.

Sami nie raz to mówicie, że teraz świat już nie taki głupi, że dziś i chłop już sobie na nosie grać nie da, ani się też sprzedać nie pozwoli, bo dziś już przecie niejeden czytać umie, a nie zadługo to jeszcze więcej będzie czytających — zwyczajnie oświata między ludem p o s t ę p u j e.

Piękna to rzecz oczywiście z tą oświatą, a jeszcze piękniejsza z tem postępowaniem w oświacie, boć w tem jest nadzieja, że coraz więcej tej oświaty będzie. Jednakże ta piękna rzecz nie wszystkim ludziom się podoba, i jest wielu takich,

którzy niechętnem okiem na to postępowanie oświaty, a nadewszystko oświaty między ludem patrzą. Przyjaciele tej oświaty nazywają się ludzie *postępowi*, a nieprzyjaciele oświaty ludzie *wsteczni*, to znaczy ludzie, którzy nie chcą postępowania ludu w oświacie, ale raczej tego, aby się lud wrócił do dawnej ciemnoty.

Aleć nie wszystko co ludzie nazywają pięknem lub dobrem jest takiem na prawdę, bo ludzie się często mylą i zwodzą, Bóg tylko i jego święta nauka mają prawdę nieomylną i szczęście rzeczywiste. Więc tak też jest i z tym postępem. Ludzie nazywają wiele rzeczy postępowemi, które niemi nie są, jak też nie wszystko to złe i wsteczne, co będzie dziś wstecznem nazywane.

Prawdziwy postęp zasadza się na ukochaniu Boga i bliźniego, czyli na wykonywaniu przykazań Pańskich. Wiara święta uczy nas, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca w niebie, a więc też wszyscy bracia, wszyscy sobie w oczach Boskich równi. Dla tego też dla wszystkich ludzi powinny być równe prawa, równe dobrodziejstwa, równa sposobność do nauki, do urzędów i do wszystkiego, i tylko w miarę tego jak który okaże do czego zdatność, poczciwość i sumienie, między ludźmi wybierać trzeba.

To byłby postęp prawdziwy, bo po drugiej stronie byłaby znowu i równość obowiązków, jak jest przed sądem Boga. Czy kto możny, czy ubogi, czy wielki, czy mały, czy chłop, czy szlachcic: przed Bogiem każdy jednakowo odpowiadać i rachować się musi, ta tylko będzie różnica, że kto odebrał więcej, ten też z większego zdawać musi sprawę.

Są to rzeczy takie proste, takie stare, tyle razy w kościele z ambony powtarzane, a jednak do dziś mącą one ludziom w głowach, i mącą a kłócą porządek i spokojność po świecie.

Bo widzicie, na wielkim świecie ciągle się dwie strony z sobą ucierają: jedna strona chce rządzić i panować, a druga nie chce słuchać i tego się domaga, żeby i ona w rządzeniu miała swój głos także.

Było bowiem w dawnych czasach tak, że królowie lub cesarze sami rządzili całym narodem i naród ten uważali za swoją własność, jakby za inwentarz jaki. Do dziś dnia jest jeszcze tak w nieoświeconych krajach, lub tam gdzie napół dzikie są narody. Tacy królowie przybierali sobie do pomocy w rządzeniu różnych ludzi na urzędników lub na starszych nad wojskiem, a ci się razem z królami dobrze z tego mieli.

Kiedy jednak lud począł do rozumu przychodzić przez naukę i oświatę, kiedy poznał prawdziwą wiarę, która uczy, że wszyscy ludzie są w oczach Boskich równi, a tylko zasługa, cnota i poświęcenie godność i wartość człowieka podnoszą, wtenczas lud powoli zaczął się poznawać na tem, że on przecież nie na bydło stworzony, że w każdym człowieku jest dusza nieśmiertelna, jest podobieństwo boskie, więc też ludowi należą się prawa i należy mu się wolność, aby mógł sam nad sobą radzić.

Od tego poznawania przyszło do narzekania na ucisk, a potem do dopominania się o wolność. W końcu przyszło do tego, że i królowie i wszyscy rządzący poznali, że tak dłużej własną swoją wolą rządzić nie mogą. Rządy, w których sama wola i władza króla wszystko mogła, nazywały się *samowładne*, czyli *despotyczne* albo *absolutne*, rządy zaś takie, w których i naród czyli lud ma też swój głos, nazywają się *konstytucyjne*.

Dziś już minęły czasy rządów samowładnych. Dawniej powiadano tak: monarcha ma naród na to, żeby go ten naród słuchał i według jego woli się sprawował a żył; dziś powiadają tak: naród jest od Boga stworzony, aby znał i kochał Boga i stawał mu się coraz podobniejszym, a ten naród ma monarchę, żeby mu on utrzymując porządek w narodzie, do tego postępu dopomagał. Dawniej królowie kupowali sobie kraje, dostawali je w posagu z żonami lub zdobywali je we wojnach, albo też brali za długi, jakby kawał jakiego gruntu, na którym tylko zboże, trawa albo nieme drzewa rosną. Dziś i tego już jakoś niechcą uznawać narody i powiadają tak: Pan Bóg narody po świecie porozsadzał, każdy naród w jedno przez mowę i miłość swej narodowości i ojczyzny połączył, więc się nie należy dzieła Boskiego niweczyć, ale należy każdy naród zostawić, aby on o sobie radził i nad sobą rządy według swego serca i rozumu postanowił. Więc dawniej królowie robili sobie kraje i narody, dziś narody tworzą zarazem kraje i rządy stanowią, albo przynajmniej do tego dążą. Jest w tem postęp, bo jest uznanie w każdym człowieku godności człowieczej, równości jego w obliczu Boskiem.

Ale i dziś się to jeszcze nie wszystkim ludziom podoba, i ztąd jedni są za postępem, drudzy przeciw postępowi, jedni są ludzie *liberalni*, czyli postępowi, drudzy *reakcyjni* czyli wsteczni.

Prz. L.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.